PRZYJACIEL SZKOŁY

„Cóż warte wszystkie kopje, jak zabraknie wzorów, - cóż znaczą wszystkie echa, jak nie zabrzmi żaden głos własnego przekonania i doświadczenia. - Cóż znaczą wszystkie pożyczane światła planet i księżyców, jak zabraknie gwiazd i słońca?"
Stanisław Szczepanowski:
„Aforyzmy o wychowaniu".

Dwutygodnik Nauczycielstwa Polskiego.

Wychodzi 5 i 20-go każdego miesiąca.

Zeszyt 1-2. Dnia 20 stycznia 1923. Rok II.

Adres Redakcji: POZNAŃ, ulica Różana nr. 4a.

Od wydawnictwa.

*Z Nowym Rokiem a drugim istnienia swego staje **„Przyjaciel Szkoły"** przed Wami, Szanowni Czytelnicy i Pracownicy na niwie szkolnictwa, z tym samym programem, co w roku ubiegłym.*

Pragniemy służyć sprawom wychowania i nauczania ze stanowiska ogólno - narodowego w tej myśli, że pracę naszą oddajemy — w skromnej mierze wprawdzie ale z dobrą wolą — sprawie najważniejszej, bo sprawie wychowania narodu.

*Chcielibyśmy, ażeby **„Przyjaciel Szkoły"** był głosem przekonania i doświadczenia wychowawczego Nauczycielstwa Polskiego, bo „cóż znaczą wszystkie pożyczane światła", jeśli nie rozniecimy ognisk własnych, jeśli braknie gwiazd i słońc rodzimych*

*Z tem przekonaniem, że **„Przyjaciel Szkoły"** stać się może owem światłem własnem na ziemiach zachodnich Rzeczypospolitej, tu właśnie, gdzie niedawno temu panoszyła się myśl obca i wroga, i że zamiary nasze potrafi ocenić należycie Nauczycielstwo całej Polski, — z myślą służenia Ojczyźnie w Imię Boże — rozpoczynamy drugi rok pracy.*

Ideologja pracy nauczycielskiej.

Ileż to słyszy się wielemówiących westchnień i skarg tego rodzaju: „I znów zaczyna się ta orka...“, „Jestem tak przemęczony pracą w szkole, że....“, „Już mam dość tego nauczania!“ itd. — I spóźnianie się na lekcje, wyczekiwanie dzwonka podczas lekcji, wyglądanie wakacyj, jak zbawienia...

Muszę zaraz na wstępie zaznaczyć, że mam tu na myśli nietylko t. zw. nauczycieli wojennych, dla których „gorzki“ chleb nauczycielski jest tylko etapem przejściowym na drodze ich życia, zmierzającej do wznioślejszych, według ich mniemania, celów, a które to cele my popularnie nazywamy karjerą. Podobna zgorzkniałość daje się zauważyć niejednokrotnie nawet wśród osób, które bądź to chciałyby zostać nauczycielami, bądź też pogodziły się z losem, który ich rzucił w szeregi „tych najuboższych ciałem, lecz najbogatszych duchem“ — i którzy z rezygnacją dźwigają ten ciężki krzyż uczenia dzieci cudzych, zerwawszy z myślą przeniesienia się na bardziej intratne (materjalnie) stanowiska. Pierwsi (nauczycielstwo „wojenne“) są jeszcze w tem szczęśliwem położeniu, iż mogą się pocieszyć myślą, że ich przygodna obecność wśród rzeszy nauczycielskiej prędzej, czy później się skończy, że przyjdą „lepsze dni żywota...“ i bez żalu opuszczą swe odpowiedzialne placówki. Możemy im tylko z głębi serca życzyć: oby się to stało jaknajprędzej! Ci ludzie są dla nas straceni. Natomiast druga i trzecia kategorja — chcący pracować i ci, którzy pogodzili sie z losem — ci rzeczywiście przechodzą istne katusze moralne i fizyczne. Cierpią — dzięki sobie. Bo jeżeli kto, to nauczyciel jest „kowalem swego szczęścia“. Prawdę tę miało sposobność stwierdzić wielu z pośród oddających się pracy nad kształceniem młodych pokoleń i niejednokrotnie była ona tematem rozważań wielu pedagogów. Jednakowoż dotychczas nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę i narzekając na „okropne trudy nauczania“ i swój los nieszczęsny, zawsze obwiniają nie siebie, tylko warunki, w jakich im wypada pracować: dzieci, rodziców, społeczeństwo. Niekiedy w samej rzeczy warunki ogromnie utrudniają pracę nauczycielowi, ale w większości wypadków — uderzmy się w piersi — jesteśmy winni sami. Najlepszym dowodem jest fakt, że gdy w pewnej miejscowości nauczyciel, czy nauczycielka napróżno wysila się, aby pracować wydajnie, wkońcu rozgoryczony ustępuje — przychodzi kto inny i z łatwością daje sobie radę. Widocznie poprzednik nie umiał, pomimo najlepszych nieraz chęci, wziąć się do rzeczy, a może wprost jakimś jednym fałszywym krokiem, uczynio-

nym bez zastanowienia i głębszego przemyślenia, zraził sobie i dziatwę i rodziców.

Że niepowodzenie w pracy nauczycielskiej zachodzi najczęściej z naszej winy, świadczy jeszcze to wewnętrzne przekonanie, że tak jest istotnie, które to przekonanie każdy z nas odczuwa, lecz do którego, niestety, nie chce się przyznać...

Należy więc raz zerwać z obłudą i spojrzeć prawdzie w oczy. I to będzie pierwszy stopień na drodze poprawy.

Skonstatowawszy fakt, mimowoli zastanowimy się, jakie przyczyny złożyły się na to, że mimo chęci popadliśmy w ten smutny stan niezaradności, że się tak wyrażę. Przyczyny mogą być dwojakiego rodzaju: intelektualne i moralne. Pierwsze dadzą się usunąć względnie łatwo, i do nich możemy zaliczyć niedostateczne wykształcenie, brak, ewentualnie złe przygotowanie do zawodu. Natomiast rozgoryczenie, którego przyczyny musimy się doszukiwać w drugim rodzaju, posiada wybitne cechy trwałości, gdyż należy tu brak zamiłowania do pracy nauczycielskiej, chorobliwy stan nerwów itp. Znalazłszy przyczynę złego, będziemy się starali ją usunąć. Jeżeli to będzie brak umysłowy, a pozatem posiadamy pewne dane, że chęć i zamiłownie jest, to nic łatwiejszego, jak już wyżej zaznaczyłem, jak przez samokształcenie i odpowiednie kursy braki te zanulować. Bardzo rzadko się zdarza natomiast nabrać zamiłowania do zawodu nauczycielskiego, jeżeli się go nie posiada i liczyć na to nie możemy, jak również na to, że skołatane nerwy się uspokoją.

Lecz niech nikt nie myśli, że usunąwszy przyczynę zupełnie widoczną, tem samem zdobędziemy zadowolenie i radość w pracy. Nie! Jeżeli ktoś tak sądzi, to zapomina o rzeczy najważniejszej, która stanowi istotę powodzenia pracy nauczycielskiej. Jest to ukochanie naszych ideałów, umiłowanie celów tak odległych i jednocześnie tak bliskich sercu naszemu, streszczających się w tych płowych główkach, pochylonych nad książką. Wszyscy znamy to słynne powiedzenie Pestalozziego: „chcę zostać nauczycielem“, przez które ów prorok nowoczesnego wychowywania odrzucał wszystkie zaszczyty i godności, jakiemi go chciano obdarzyć, żeby tylko mógł oddać się pracy nauczycielskiej, — lecz nie zawsze zdajemy sobie sprawę z całej głębi tych słów. „Nie chcę innych godności — najwyższą godnością, najwyższym zaszczytem jest stanowisko nauczyciela“ — chciał przez nie powiedzieć Wielki Nauczyciel. Jakże dalekie od tej myśli są nasze dzisiejsze sądy o powołaniu i godności nauczycielskiej! Przecież pierwszy lepszy urzędnik to figura, o wiele ważniejsza od osoby nauczyciela!

I tu znaczną część winy musimy my nauczyciele przyjąć na siebie. Zróbmy przegląd pojęć, panujących wśród rzesz nauczycielskich, a przekonamy się, ilu wśród nas podobnie sądzi, ilu to nauczycieli pocichu marzy o „wybiciu się" na stanowisko jakiego instruktora kółek rolniczych czy innego referenta...

Musimy z tego, co było wyżej powiedziane, wyciągnąć wniosek: dopóki samo nauczycielstwo nie podniesie wysoko sztandaru swej godności, dopóty będzie przez społeczeństwo traktowane źle. Oczywiście z kwestją godności wiąże się ściśle odpowiednie wykształcenie nauczycielstwa i przygotowanie do zawodu, gdyż w przeciwnym razie wyglądałoby to na pyszałkowatość. I to każdy nauczyciel musi mieć na uwadze.

Uważam stanowisko nauczyciela za najwyższy zaszczyt, jaki mnie spotkał w życiu!

Gdyby tak sądził każdy z Kolegów i Koleżanek,—stawiam pytanie — czy mielibyśmy wśród nas tak dużo niezadowolonych, narzekających na „niewdzięczną" pracę? I czyż można sądzić inaczej? Który z zawodów może się pochlubić tak wzniosłemi rezultatami swej działalności, jak zawód nauczycielski? Który warsztat pracy poza nauczycielskim zajmuje się wykuwaniem żywych posągów dusz ludzkich z chropawych, nieociosanych brył?

A duch ludzki — to wszak rzecz najważniejsza... A dalej, czy możliwą byłaby jakakolwiek praca w dzisiejszym świecie cywilizowanym bez udziału w pierwszym rzędzie szkoły i nauczyciela? Szkoła kładzie podwaliny pod cały tak dzisiaj skomplikowany ustrój społeczny i polityczny: udział szkoły decyduje o wszystkiem, że się tak wyrażę.

I dziwić się tylko należy tym, którzy nie doceniają znaczenia szkoły i oświaty wogóle, pomimo usilnych nawoływań ze strony nauczycielstwa i obywateli rzecz rozumiejących. Dziwić się tem bardziej można nauczycielowi, nie mogącemu znaleźć w pracy swej zadowolenia...

Czyż może być większa radość w życiu nad przeświadczenie, że ziarno rzucone w dusze dziecięce kiełkuje, i ja to mogę obserwować. Mogę widzieć, jak najlepsza cząstka mnie samego w tych małych serduszkach wzrasta, olbrzymieje...

I chociaż mnie zabraknie, wiem, że myśli moje pozostaną, może spotęgowane.

Porzućmy więc próżne narzekania, „ból swój niebu trza polecić" i niech każdy z nas sobie powie: *„Chcę zostać nauczycielem!"*

(Myszków). *W. Turos.*

Nauczyciel w życiu społecznem.

Jeżeli uznajemy twierdzenie, że oświata jest jedną z najważniejszych podstaw siły narodowej, zaprawdę, tedy nauczyciel ludowy należy do pierwszorzędnych czynników krzewienia oświaty. Działalność jego nie powinna się jednak ograniczyć tylko na szkołę, lecz winna sięgać w głąb życia społecznego.

Praca nauczyciela, mającego tylko dziecko na uwadze, a nie także i otoczenie, z którego wyrosło i w którem żyje, wyda z konieczności tylko skromne owoce, byłoby to podobnie jak z ogrodnikiem, który pielęgnuje owoc, a o całem drzewie zapomina. Nauczyciel winien zwracać baczną uwagę na swoje otoczenie, starać się o zrozumienie wymagań społeczeństwa, którego dzieci uczy i do tego zastosować w znacznej mierze swoje postępowanie, tedy spełni chlubnie swoje zadanie, i działalność jego osiągnie pożądany skutek.

Łączność ze społeczeństwem wynika już z jego pracy szkolnej. Przy wprowadzeniu dziecka do szkoły przez rodziców, poznają się nauczyciel i rodzice. Dobrze byłoby na samym wstępie nawiązac stosunek między rodzicami a szkołą, polegającej na wzajemnem zaufaniu. Nauczyciel powinien znać stosunki domowe swoich dzieci szkolnych, aby mógł ocenić, jakie okoliczności wywierają wpływ dodatni albo hamują rozwój dziecka.

Temu celowi służą wyznaczone godziny przez nauczyciela, w których rodzice mogą dowiedzieć się o postępach swojego dziecka. W ważniejszych wypadkach, dotyczących przewinienia dziecka, zaleca się zaprosić rodziców, aby wspólnie z kierownikiem i nauczycielem sprawę rozpatrzyć i złemu zaradzić. Ogólniejsze znaczenie mają kwartalne konferencje rodzicielskie, na których wszyscy rodzice o jednym czasie mają sposobność informować się o postępach i zachowaniu dziatwy swej. Na pogadankach szkolnych znów może grono nauczycielskie przed zebranymi rodzicami poruszyć różne zagadnienia w zakres szkolnictwa wchodzące, jak karność w szkole, higjena szkolna, uczęszczanie dzieci do szkoły itp. Zaleca się też przez odczyty z pedagogji ogólnej zainteresować ogół sprawami wychowania szkolnego.

Odwiedzanie domów rodzicielskich celem zbadania przyczyny zaniedbania się dzieci zaleca się gorąco naszemu nauczycielstwu. Praktyka wykazała z małemi wyjątkami dodatnie skutki.

Losem zaniedbanych dzieci zajmują się także w szkołach poznańskich t. z. Rady opiekuńcze, które starają się o usunięcie dziecka zaniedbanego z jego otoczenia i o umieszczenie go w zakładach lub innych rodzinach. Do Rad tych należą przedstawiciele nauczycielstwa, rodziców, duchowieństwa, policji i Deputacji ubogich. Przy każdej szkole powszechnej powinna powstać taka Rada opiekuńcza. Dobre skutki wywarło też w niektórych szkołach powołanie do życia Komitetów rodzicielskich, które wybrano na pogadankach z grona rodziców i osób życzliwych szkole. Potrzeby naszego młodego szkolnictwa są bardzo wielkie, a finanse państwa niezbyt pomyślne, aby można było liczyć na zaopatrzenie szkół w środki naukowe z funduszów państwowych. Różne braki, czy to książek do czytania, czy przyborów szkolnych, są tak wielkie, że pomoc ogółu jest koniecznie potrzebna. Komitety te tworzą najlepszy łącznik między szkołą a społeczeństwem, pobudzając takowe do skutecznej ofiarności. Częstokroć komitety rodzicielskie mają więcej posłuchu u władz, niż wszelkie urzędowe doniesienia.

Wielkie zainteresowanie budzą także u rodziców wieczornice, majówki w porze letniej, wystawy rysunków i robót ręcznych, które każda szkoła choć raz do roku urządzać powinna.

Pora letnia nadaje się do wycieczek w celach historycznych, krajoznawczych lub przyrodniczych. Prawie każda okolica posiada miejsca o znaczeniu historycznem, z rzadkiemi okazami przyrody lub zasługujące na szczególniejszą uwagę. Jeżeli środki na to pozwolą, można także wycieczki urządzać w dalsze strony, aby poznać urocze okolice naszej Ojczyzny i przez to ją więcej pokochać.

Zwiedzanie zakładów przemysłowych lub innych instytucyj społecznych w celach naukowych pożądane jest bardzo. Ale nie tylko przy wyżej wspomnianych sposobnościach ma nauczyciel możność wspólnego działania ze społeczeństwem, temu celowi służy także każda przynależność jego jako członka do różnych towarzystw, czy to dobroczynnych, czy oświatowych, czy społecznych. W pierwszym rzędzie powinien nauczyciel brać udział czynny w towarzystwach, zajmujących się dziatwą szkolną, do których np. w Poznaniu zaliczam towarzystwa „*Warta*“ i „*Stella*“.

Warta z chlubną przeszłością skupiała podczas niewoli dzieci polskie i uczyła je języka polskiego i historji polskiej, dziś tworzy schroniska i wydziela obiady dla dzieci najbiedniejszych. *Stella* znów wysyła słabowitą i chorowitą dziatwę szkolną czy to na letniska, czy do stacyj leczniczych na ku-

rację. Założenie podobnych towarzystw zaleca się po wsiach i miasteczkach, by przyjść z pomocą mniej zamożnym i biednym dzieciom zaopatrzyć je w przybory szkolne, dziś tak drogie i trudne do nabycia. Nie jest zadaniem tego krótkiego referatu wymienić wszystkie towarzystwa i urządzenia, stosowne do współpracy nauczycielskiej, ale ma to być tylko zachętą i wskazówką do działalności nauczyciela na szerszym terenie społecznym, gdyż wiele innych towarzystw, jak Czytelnie ludowe, Kółka śpiewackie, Sokoły, Harcerze, Czerwony Krzyż i rozmaite towarzystwa młodzieży pozaszkolnej powitałyby z uznaniem czynną współpracę nauczycielską.

Nauczyciel, jako obywatel gminy i Państwa, posiada także prawo ubiegania się o wybór na członka do ciał samorządowych i ustawodawczych. Droga do biernego wyboru będzie mu wiele ułatwiona przez jak najczynniejszy współudział w życiu społecznem. Współpraca jego w tych instytucjach jest tem więcej pożądana, ponieważ nasze szkolnictwo znajduje się jeszcze w okresie powstającym, a któż byłby więcej powołany niż nauczyciel do służenia głosem doradczym przy tem tworzącem się dziele?

Śledząc prasę codzienną, spotyka się bardzo rzadko artykuły, pochodzące z kół nauczycielskich, a dotyczące zagadnień z dziedziny szkolnictwa. Ubolewanie nad objawem braku zainteresowania się społeczeństwa szkołą powszechną nic nie pomoże, jeżeli my sami nie będziemy się starali o uświadomienie jego w sprawach szkolnych. Brak czasu do pisania artykułów nie powinien uchodzić za uniewinnienie, a prasa, ogólnie twierdząc, umieszcza chętnie referaty ogólne, dotyczące szkoły.

Żalimy się, że znaczenie nauczycielstwa upada, nie oglądajmy się za wiele na władze, nikt nas nie dźwignie, jeżeli sami sobie nie poradzimy. Musimy tępić istniejące jeszcze z czasów niewoli zapatrywanie społeczeństwa, że nauczyciel jest wrogiem dzieci polskich i ludu polskiego. Choć w tym względzie nastąpił już stanowczy zwrot na lepsze, jednak zupełne wyrugowanie tego poglądu wymaga dłuższego czasu i wytężonej pracy, tak w szkole jak i w życiu społecznem, a społeczeństwo oceni sprawiedliwie tę pracę i otoczy nauczyciela swej dziatwy miłością i szacunkiem, a również powierzy mu chętnie obronę szkoły polskiej w ciałach samorządowych i społecznych.

(Poznań). *Bolesław Dąbrowski.*

Psychika rysunku dziecka.

Nowoczesne badania pedologiczne rzuciły ciekawe światło na psychikę rysunku u dzieci, a zasłużyli się na tem polu zwłaszcza *Kerschensteiner*, *Stern*, *Katz* i *Ricci*. Bądania rysunków dzieci jakoteż komponowanie ich dozwalają nam wniknąć w duszę dziecka a ponadto okazują nam drogę wyrabiania się twórczości artystycznej, bo dziecko często przypomina nam artystę, jak na odwrót artysta dziecko.

Pierwszą zasadniczą cechą rysunku dziecka jest to, że uważa ono rysunek za zabawę, rysuje z pamięci i nie to, co widzi przed sobą, lecz to, co wie o danej rzeczy i jak ją sobie wyobraża. Mamy tu więc sposobność plastycznego poznawania sposobu myślenia dziecka i zapatrywania się jego na świat.

Z tych też powodów rysunki dzieci przedstawiają się dość typowo. Po okresie bazgrania zaczynają się zjawiać prymitywne próby odtwarzania znanych przedmiotów lub osób, poczem dziecko przechodzi do kompozycyj sytuacyjnych nieraz bardzo ciekawych. Dziecko rysuje symbolami tak, jak czuje i jak zna dany przedmiot, a więc z tego powodu rysując drzewo rosnące, dodaje ono widocznie w ziemi korzenie, ludziom kończyny dolne, widoczne przez suknię, a rysując profil, dodaje drugie oko. Przy rysunku uwzględnia dziecko najpierw to, co go w każdym przedmiocie najwięcej uderza, postać więc ludzka ma głowę ogromną, która siedzi bez szyi na korpusie, lub nieraz wprost z niej wyrastają nogi. Na twarzy wyraźne są oczy, nos i usta jakoteż szczotkowato zaznaczone włosy. Na rękach najwyraźniej uwydatnia palce, nie troszcząc się wcale o proporcję ciała lub perspektywę. Zwierzęta rysuje z niewyraźną szyją, uwydatniając uszy lub rogi, nierzadko dając mu za wiele kończyn i zaznaczając wyraźnie ogon.

Bardzo ciekawą sprawą w rysunku małych dzieci jest brak orjentowania się w przestrzeni trójwymiarowej i często dlatego rysują one jak mówimy „Do góry nogami", mieszają stronę prawą z lewą, górę z dołem, przód z tyłem itp. Podobne cechy spotykamy i przy początkach pisma np. umieszczanie lasek przy *d* po stronie lewej, odwrotne pisanie liczb lub poziome cyfr stojących, co zwłaszcza często zdarza się u dzieci leworęcznych, zmuszanych do nauki pisma prawą ręką, na co swego czasu zwróciłem uwagę. (*Człowiek oburęczny*. Kraków. 1915 r.).

Jeszcze na jeden ciekawy szczegół chciałbym zwrócić uwagę, a mianowicie na przeskakiwanie myśli i tematu podczas

tworzenia, co żywo przypomina twórczość wielu artystów. Jeżeli obserwujemy niespostrzeżenie dziecko podczas rysowania, zwłaszcza, gdy ono przy tem ze sobą rozmawia, to nieraz zauważymy następujące fakta: dziecko zaczyna rysować ptaka i mówi: „Staś narysuje teraz ptaka“ — rysuje dziób — ale dziób ten przypomina mu zaraz początek gwiazdy i dlatego zapomina już o ptaku i mówi: „to będzie słońce“. Rysuje więc dalej, lecz z tarczy słonecznej wyłania mu się podobieństwo do twarzy ludzkiej, rysuje więc tatusia itp. Podobne niespokojne przeskakiwanie z tematu na temat spotykamy w twórczości wielu artystów.

Z modelu zaś dziecko absolutnie rysować nie umie — a gdy mu każemy, czyni to z niechęcią i źle, tracąc ochotę do zabawy „w rysunek“, uważając to już za nudną naukę.

Natomiast wzrokowa pamięć dzieci czasem jest zdumiewająca, i mali artyści rysują lokomotywy, kościoły i krajobrazy z najdrobniejszemi szczegółami, przyczem często jeden jest specjalistą od aeroplanów, drugi od koni, trzeci od maszyn i t. p.

W miarę, gdy dziecko uczy się nie tylko dobrze patrzeć, ale i widzieć, zaczyna też spostrzegać wady swego rysunku, zaniedbuje go też coraz bardziej, chyba że ma do rysunków talent, a wtedy samo żąda modelu i na nim się wzoruje, poprawiając już błędy swoje, oceniając perspektywę i ogólne kontury, w przeciwieństwie do mniej ważnych szczegółów.

Oceniając rysunek dziecka z tego stanowiska, może nauczyciel często wyczytać z niego wiele i nieraz poznać duszę swego wychowanka i to nie tylko normalną ale i patologiczną, względnie różne jej zboczenia.

(Kraków). *Dr. Adolf Kłęsk.*

W sprawie „Wzorów nauki w klasie pierwszej“.

Cieszę się bardzo, że pomieszczony w numerze 20 „Przyjaciela Szkoły“ jak to słusznie Kolega Turos nazwał skrót lekcji wywołał zainteresowanie i dyskusję. W ten sposób bowiem cel swój częściowo już osięgnął. Nim przystąpię do odpowiedzi na szczegółowe zarzuty, zaznaczyć muszę, że lekcja ta wybrana została z dłuższej pracy p. t. „Początek roku w klasie I-szej“, przesłanej Szanownej Redakcji „Przyjaciela Szkoły“ i we wstępie do tej pracy zaznaczyłem wyraźnie, że jestem zasadniczo przeciwnikiem podręczników, zawierających gotowe lekcje i jeżeli już koniecznie trzeba wzory lekcyj podać, nigdy nie powinni się nauczyciele wzorów tych niewolniczo trzymać, lekcje bowiem muszą być dostosowane do indywidual-

ności dzieci, a więc uwzględniać zdolności, wiek, środowisko, w którem się dziecko obraca itp. Wzór taki powinien być jedynie i wyłącznie wzorem służącym do przygotowania się do lekcji, nie może jednak w niczem krępować także indywidualności nauczyciela, bo dobry nauczyciel, musi być artystą, a więc twórcą, a nie rzemieślnikiem.

Kolega Turos pyta, czy wierszyk Rydla dla sześcio i siedmioletnich dzieci nie za trudny? Ja uważam, że nie, o ile dzieci nie pochodzą ze środowiska, w którem już sam język polski sprawia pewne trudności. Kolega Turos zna dzieci i wie, że lubią one rzeczy wesołe i skoczne, ale mają także bardzo czułe serduszka i jeżeli mamy *wychowywać*, a więc oddziaływać na uczucia, nie zawsze możemy tylko szopki z dziećmi wyprawiać. Po jesiennej przechadzce, kiedy to wicherek polski szarpał nam na głowie kapelusze, kiedy to listki spadały pod nasze nogi z drzew, taki nastrojowy, a przytem bardzo melodyjny wierszyk uważam na czasie i jestem pewien, że zawsze on trochę serduszkiem ruszy, potrąci w niem struny, które bądź co bądź bez dźwięku pozostać nie powinny.

Gdybyśmy przy nauce operowali tylko temi wyrazami, które dziecko zna, nigdyby one nie poznały wyrazów nowych. Zapewne, że nieznane wyrazy trzeba im wyjaśnić, ale niechże Kolega nie obawia się, że wyrazy Rydla będą tak całkiem niedostępne dla polskiego dziecka. Niechno Kolega będzie łaskaw w czasie wiatru wystawić chusteczkę za okno i zapyta dzieci, co to wiatr z tą chusteczką robi, a z pewnością między innemi określeniami bodaj jedno dziecko powie, że wiatr chusteczką miota, a jeżeli nie powie, także nieszczęścia nie będzie, jeżeli my mu to powiemy i wzbogacimy słownię jego nowym wyrazem. Podobnie wyjaśnić i zastąpić innemi zwrotami dadzą się i inne wyrazy, boć przecie dzieci widziały już ulewę i siwy mróz, wiedzą, że złoto jest żółte i listki żółte i t. p. Dzieci wogóle mają żywą wyobraźnię i duże odczucie.

Dlaczego Kolega Turos obawia się nazwać liczby liczbą? Czy dzieci nie wiedzą, że liczą, czy nie nazywają stołu stołem, czy potem nie trzeba im będzie powiedzieć trudniejszej rzeczy o rzeczowniku? Liczenie naprzód i wstecz jest bardzo dobrem urozmaiceniem lekcji rachunków, a chyba zgodzi się ze mną Szanowny Kolega, że niema nic bardziej szkodliwego i zabijającego, jak lekcja nudna.

Kasztanów, patyczków i grochu używałem na poprzedniej lekcji. Niech Kolega spróbuje zrobić sobie takie słupki z drzewa i pokaże je dzieciom, a zobaczy, że naprawdę nie tylko trudności nie sprawi, ale ułatwi. Ma Kolega zupełną słuszność, że gdy każemy dzieciom odrazu samym rysować, a nie *pokażemy*

im tych stopni w naturze, nie zwrócimy uwagi na ich stosunek do siebie, to pewnie nie narysują. A jeżeli będą rysowali, to nie przypuszczam, aby któryś z kolegów wymagał tutaj od dzieci dokładności i odmierzań. Niechże rysuje i kształci i rozwija swój umysł obserwacyjny tak, jak i na innych przedmiotach. Przecież dzieci w tym wieku porywają się nawet na rysowanie człowieka, a rysunek bardzo nieraz dalekim jest od rzeczywistości.

A już z tą higjeną to Szanowny Kolega naprawdę troszeczkę przesadza. Toć mają się dotknąć tylko paluszkiem dla skonstatowania, że przy wymawianiu wargi są zamknięte. A jak Kolega-higjenista myśli, ile to razy taki paluch małego obywatela wjedzie do buzi i bez tego? Nie od wszystkiego się zresztą umiera, bo inaczej jużby dawno ludzi na świecie nie było.

Kolega Zielonka niepotrzebnie całkiem od dzieci wymagał astrów, georginij i nieśmiertelników, jeżeli ich w ogrodzie nie było. Najpierwszą i najprostszą zasadą nauczania jest *pokazać, a potem nazwać!* Rozmówka po przechadzce jesiennej nie może być prowadzona szablonowo, dzieci muszą się rozgadać o tem, co widziały, a jeżeli się *rozgadają*, to już jest z lekcji skutek duży.

Powiastka poprzedzająca literę *m* nie jest długa. Zechcą koledzy na to zwrócić uwagę, na co zwrócił już zresztą uwagę i kolega Turos, że staram się o to, aby lekcje łączyły się ze sobą wszystkie w jedną całość, aby lekcja jedna była nawiązaniem lekcji drugiej. Dzieci interesują się, ale zainteresowanie ich jest niedługo trwałe, o ile jednak nawiążemy to, co będzie do tego, co już było, idzie sprawa gładziej i łatwiej. W klasie pierwszej byłbym nawet za tem, aby zupełnie nie było tego odrębywania lekcji jednej od drugiej, które się tak często niestety praktykuje. Teraz pół godziny polskiego, a teraz zasuńcie klapkę w swym mózgu i pół godziny rachunków, zupełnie niczem z poprzednią lekcją niezwiązanych. Ale o tem trzebaby pomówić osobno.

Bardzo jestem kolegom wdzięczny za zainteresowanie się lekcją i wyrażenie przy tej sposobności ze strony kolegi Turosa kilku pochlebnych słówek pod moim adresem i jeżeli Szanowni Prenumeratorzy „Przyjaciela Szkoły" mieliby ochotę skorzystać z mego doświadczenia, gdy ciężki ich zawód przysparza im trudności, gotów jestem w każdej chwili odpowiedzieć na pytania kierowane do mnie ustnie albo listem, albo, jeżeli odpowiedź będzie ogólniejsza, na łamach „Przyjaciela Szkoły". W tym celu podaję swój adres: Warszawa, Złota 5. m. 11. *J. Ciembroniewicz.*

Kalendarz historyczny.

Historja jest przedmiotem nauki szkolnej, który interesuje dzieci, lecz jest dość trudny (z czego my — nauczyciele — może za mało zdajemy sobie sprawy). Z tych też względów należy wykorzystać wszystkie środki, zmierzające do rozszerzenia zainteresowań oraz pogłębienia i utrwalenia zdobytych już wiadomości.

Jednym z takich środków, który stosowałam w swej praktyce nauczycielskiej, jest kalendarz historyczny. Prowadziłam go w klasach wyższych (6-ej, 7-ej szk. powsz.) t. j. wtedy, gdy dzieci w dziedzinie pewnych zjawisk i wypadków umiały się już orjentować. Uwzględniłam narazie dzieje tylko porozbiorowe, by uniknąć nagromadzenia faktów.

Kalendarz przedstawiał się następująco: na dużym arkuszu kartonu, ozdobionym odpowiednim portrecikiem lub obrazkiem, umieszczałam wszystkie daty, odnoszące się do danego miesiąca, a więc np. na miesiąc grudzień:

1	1916	Legjoniści wkraczają do Warszawy.
2	1797	Wyrok na Ciecierskiego i innych spiskowców litewskich.
3	1872	Zmarł w Krakowie poeta Wincenty Pol.
4	1836	Towarzystwo Demokratyczne wydaje manifest.
5	1848	Bem przybył do Siedmiogrodu.
6	1830	Chłopicki jako dyktator wydał odezwę.
10	1914	Januszajtys z oddziałem legjonu przeszedł z Kereszmeze na Węgrzech przez Karpaty, wśród śnieżnej zawiei, atakując pozycje nieprzyjacielskie.

Tablice takie zmieniałam co miesiąc.

Codziennie zaglądaliśmy do kalendarza, by przypomnieć sobie przypadające w dniu tym rocznice i omówić je. Było to więc powtórzenie wiadomości z historji, bardzo zaś często musiałam zakres ich rozszerzać, nieraz znów dzieci same szukały odpowiednich czytanek, a w nich potrzebnego materjału.

Zainteresowanie było wielkie i nie zmniejszyło się w ciągu całego roku. Naturalnie radość panowała ogromna, gdy dzieciarnia mogła dopisać w kalendarzu jakąś ważną datę z bieżącej chwili, a więc np. wypędzenie Niemców, wybory do konstytuanty, uchwalenie konstytucji, przyłączenie Śląska itp.

(Siedlce). *H. Ryszkowska.*

Milicjant.

(Materjały do pogadanek).

Dzieci zupełnie niewłaściwe mają pojęcie o milicjancie (posterunkowym), co i nic dziwnego wobec niezrozumienia przez ogół społeczeństwa naszego znaczenia stróży porządku publicznego i wogóle przedstawicieli władzy. Radując się tak bardzo, że Ojczyzna nasza wolna, że ustąpili wrogowie, że nareszcie jesteśmy sami — niedoceniamy naogół jednej, przeważnej, najważnieszej strony, a mianowicie, że mamy obecnie nie tylko rząd nie niemiecki, nie rosyjski, nie austrjacki, narzucony, lecz że wreszcie władza ta wyłoniona z pośród własnego naszego społeczeństwa, wybrana dobrowolnie przez nas samych — myślę tu zarówno o sejmie, posłach do sejmu, czy senatorach, radnych, jak i o wszystkich wogóle urzędnikach. Nie przyzwyczailiśmy się jeszcze do tego, że rząd obecnie u nas, jak u wszystkich wolnych, w normalnych warunkach żyjących narodów, to nie jakaś warstwa, kasta, organizacja, zajmująca naczelne miejsce, a równocześnie poza naszem społeczeństwem, ogółem istniejąca, do której ogół ma się dostosowywać, dopasowywać, spełniać najdziksze jej rozkazy, bać się jej, kryć się przed nią z najdroższemi, najświętszemi uczuciami, jak to było poprzednio pod stopą najeźdźcy. Nie zrozumieliśmy jeszcze, że obowiązkiem urzędników od najwyższych do najniższych jest darzyć opieką obywateli danego państwa i zarazem być czujnymi ich sługami w jednej osobie, bo rząd własny to ludzie, którzy ułatwiać nam mają życie zgodne i dogodne w gromadzie po wsiach czy miastach w organizacji, zwanej państwem.

Co myślą dzieci o najbardziej znanym sobie przedstawicielu rządu, milicjancie - policjancie - posterunkowym? Ich zdaniem — to przedewszystkiem człowiek, któremu zazdroszczą... ładnego munduru, no i władzy. „Milicjanta to każdy się boi" — myśli i mówi malec, szczególniej chłopiec (trwożliwsze naogół dziewczątka mniej interesują się tą kwestją), bo dzieciarnia widzi nieraz, jak prowadzi handlarkę z koszykiem jabłek, pijaka, czy poranionych i pokrwawionych uczestników bójki. „Milicjant złodzieja łapie i prowadzi do komisarjatu"; „Milicjantem dobrze być, bo ma rewolwer, szablę, może strzelać" — jednem słowem to potęga groźna, której się obawiać należy każdemu. Nietylko złoczyńcy: przecież uśmierza hałasujące, wszczynające zamieszanie, rozwydrzone dzieci, rozpędza je i „kuksnie" nieraz, a swych towarzyszy przecież dziecko skłonne raczej uważać za niewinnie uciśnione ofiary, niż za przestępców.

Przerażający widok milicjanta, prowadzącego za kołnierz pojmanego zbrodniarza, pełne grozy opisy po gazetach i opowieści ustne o polowaniach na bandytów, pościgach, ekspedycjach karnych przesłania przed okiem dziecka, na które działa bardziej efekt jaskrawy, widok milicjanta, wiodącego konia bezpańskiego do tegoż samego komisarjatu czy zjawiającego się z pierwszą pomocą omdlałemu na ulicy biedakowi.

Wobec tego obowiązkiem wychowawców i nauczycieli jest przedewszystkiem wrazić w umysł dziecka, że milicjant to nie coś groźnego, lecz ktoś, co każdej chwili pomóc nam może, bo to jego obowiązek, zawód i zajęcie.

Przyzwyczajajmy dzieci, żeby zbłąkane prosiły „pana milicjanta" o wskazanie drogi do domu; nie wiedzące, którędy na daną ulicę najbliżej — jego przedewszystkiem pytały, pierwszy lepszy bowiem przechodzień nieraz oburknie się i nic nie powie nieśmiałemu, wystraszonemu dzieciakowi.

Dziecko, okradzione, pobite, wyzyskane przez sprzedającego — wogóle skrzywdzone na ulicy, gdzie nie ma rodziców, krewnych, niech wie, że w milicjancie znajdzie opiekuna, przez państwo wyznaczonego, który czuwa

nad niem dniem i nocą — jednem słowem budźmy w dzieciach jak najwcześniej zrozumienie istoty dobrze zorganizowanego, prawidłowo funkcjonującego państwa, poczucie i dumę, że są tego państwa obywatelami, cieszącymi się pełnią praw i przywilejów.

Należy pytać dzieci, czy korzystały kiedy z opieki milicjanta lub widziały, jak kto z niej korzystał i ponowić podobne pytania w jakiś czas po pogawędce w celu skontrolowania, czy ziarno, przez nas rzucone, należycie zakiełkowało i powschodziło.

Druga nuta do poruszenia w pogadance o milicjancie to: Czy przyjemnie tak stać na mrozie, skwarze, ulewie kilka godzin z rzędu bez możności zejścia ze stanowiska, szczególniej na wielkiej otwartej przestrzeni: na placu, moście, nad rzeką, na pustem o rzadko rozsianych domach przedmieściu — inaczej: Czy łatwe są obowiązki stróża bezpieczeństwa publicznego?

Jeśli kto nie zechce poświęcić milicjantowi specjalnej pogadanki, niech ten temat poruszy przy okazji: z powodu zajścia na ulicy, które zainteresowało dzieci, wstrząsnęło ich wyobraźnię czy przy objaśnianiu słów w czytance — w każdym razie zwracam uwagę wychowawców na ten temat, nietylko rozwijający umysł, ale doniosły dla życia praktycznego.

(Warszawa.) **Józefa Gażyńska.**

Język ojczysty.

Utworzenie się języka literackiego.

Z nazwą Ziemi Wielkopolskiej i przyległego jej Śląska związane są trzy pierwszorzędnego znaczenia wypadki historyczne w dziejach narodu polskiego: 1, wytworzenie się najdawniejszej organizacji państwa polskiego po obu stronach Warty, między Odrą i Wisłą; 2, przyjęcie chrześcijaństwa w wieku X-ym za pośrednictwem sąsiedniego narodu czeskiego; 3, jednocześnie z organizacją państwowości polskiej wyniesienie się narzecza miejscowego na stanowisko języka wspólnego tak dla owej organizacji państwowej, jak i kościoła, a następnie i piśmiennictwa.

Utworzenie się języka literackiego, czyli ogólnego języka piśmiennictwa narodowego nie sięga początku bytu samego narodu, ale powstaje i pojawia się w czasie późniejszym, w okresie dalszego rozwoju tego życia, w czasie, kiedy skupienie jednostek jednoplemiennych występuje na widownię historyczną jako społeczność do pewnego stopnia zorganizowana.

Kiedy w wieku X-ym powstała pierwsza organizacja Państwa Polskiego między Odrą i Wisłą, w czasie tym nie mogło być jeszcze języka wspólnego, ogólno-literackiego. O języku polskim w okresie wcześniejszym, przed wiekiem X-ym, możemy tylko powiedzieć ogólnie, że od czasu oddzielenia się plemienia polskiego od wspólnej rodziny prasłowiańskiej i od rozpoczęcia przezeń życia odrębnego, samodzielnego na nowych

siedzibach historycznych, język tego plemienia był już w zasadniczych formach swej budowy ukształtowany i dostatecznie rozwinięty; na takim bowiem stopniu rozwoju, jak wykazują badania porównawcze, znajdował się w czasie, gdy plemię tym językiem mówiące opuszczało pierwotną siedzibę prasłowiańską, tę wielką odrośl szczepu arjoeuropejskiego.

Różne gromady plemienia polskiego, które zajęły rozległe obszary między Odrą i Wisłą, z biegiem czasu i zależnie od siedzib mniej lub więcej od siebie odległych, wytworzyły w swej mowie pewne drobne różnice już to w formach wyrazów, już to w niejednakowem wymawianiu pewnych brzmień pojedyńczych (np. jedne z wymową: *dusza, człowiek, życie, żelazo*..., inne: *dusa, clowiek, zycie, zielazo* i t. p.). Inaczej mówiąc — język polski w ustach mówiących nim mieszkańców na szerszej powierzchni osiedlenia nie był jednolity, ale — jak każdy zresztą język — był, jak i do dziś pozostał, zbiorem albo sumą pewnej liczby gwar czyli narzeczy, różniących się drobnemi szczegółami, związanych jednakże z sobą wspólnym charakterem rysów przyrodzonych, t. j. posiadających jednaki ustrój zasadniczy, tę samą budowę fleksyjną, czyli tę samą zdolność odmieniania wyrazów (fleksji), ten sam zasób pierwotnego materjału językowego, odziedziczony po wspólnej macierzy prasłowiańskiej.

Wskutek pewnych warunków historycznych i gospodarczych w jednem z takich środowisk plemiennych między Odrą i Wisłą w wieku IX-ym zaczęło się rozwijać życie gromadne ludności, zaczęły się zawiązywać żywiej pulsujące stosunki społeczne, następnie z ich rozwojem tworzyć się władza wybitnych wśród plemienia jednostek, a wraz z nią organizować życie państwowe całego plemienia. Naturalnym i nieodłącznym towarzyszem takiego rozwoju życia państwowego i władzy państwowej był język tamtejszej ludności, t. j. narzecze miejscowe w i e l k o p o l s k i e. I w Polsce więc, jak w każdym innym narodzie, z narzecza ludowego pewnej miejscowości wytworzył się język ogólny państwowy, język klasy panującej, język dworu, który staje się z kolei językiem pierwszych zawiązków piśmiennictwa, a następnie językiem warstw wykształceńszych całego narodu, językiem jego kultury.

Drugiem wydarzeniem, które wywarło potężny wpływ na rozwój i wzmożenie się życia duchowego w Polsce, było przyjęcie chrześcijaństwa w wieku X-ym za pośrednictwem pobratymczego narodu czeskiego. Z faktem tym wprowadzony został do życia polskiego nowy czynnik pierwszorzędnej doniosłości w dziejach narodu. Przedewszystkiem duchowa dziedzina tego życia wzbogaca się znacznym zasobem wyobrażeń

i nowych pojęć umysłowych. Dotychczasowe wyobrażenia zmysłowe bóstw pogańskich zastąpione zostały nowemi pojęciami umysłowemi Boga i nauki chrześcijańskiej, przybyły nowe pojęcia etyczne: cnoty, miłości bliźniego, pojęcia grzechu. nabożeństw, obrzędów, świąt, kościoła, kapłanów i t. d. Tym sposobem przez nową naukę chrześcijańską poziom duchowy narodu podniósł się na wyższy stopień kultury.

(Dokończenie nastąpi).

(Warszawa). *Adam Ant. Kryński.*

PORADNIK JĘZYKOWY.*)

Powiedzony, ukradzony, wiedzony. Język Wielkopolski ma tendencję do stworzenia imiesłowów przeszłych na *ony* bez miękczenia poprzedzającej spółgłoski. Niemiękczenie jest błędem, bo tam przed zakończeniem jest *i*, na które się temat kończy. Powyższe formy powinny zatem brzmieć: *powiedziany*, (w czasowniku *powiedzieć* zmienia się jeszcze niewłaściwie *a* na *o*), *ukradziony*, *wiedziony*.

Jadzie. Czasownik brzmi *jechać*, a nie *jachać* i odmienia się z *a* przed twardą spółgłoską, a *e* przed miękką: *jadę*, *jedziesz*, *jedzie*.

Pieniądze rozletą się. Od *lecieć* brzmi czas teraź. *lecą* a nie *letą*, czas przyszły dok. *polecę*, a nie *poletę*, pieniądze *rozlecą się*.

Stojałem. Ma być *stałem*, urobione od krótszej formy *stać*, a nie *stojeć*. (*J. Biliński*: „Błędy językowe".)

Książki.

Czapczyński Tadeusz. Metodyczny rozbiór powieści Ogniem i mieczem H. Sienkiewicza. Gebethner i Wolff w Warszawie (1922). Str .235.

Sienkiewiczowska „powieść z lat dawnych" działa na młodzież. Akcja powieści, pełna tajemniczości, pociąga; ciągłe drażnienie ciekawości budzi zainteresowanie, umiejętnie powiązane zdarzenia przykuwają myśl i uwagę, jeszcze silniej porywa związanie postaci w jednolitość kompozycyjną i uczuciową. S. przez akcję działa na wyobraźnię czytelnika młodego, budzi w nim poczucie honoru narodowego i obowiązku obywatelskiego i stawia przed oczy konieczność służby dla ideału. Opisy krajobrazów rozpalają uczucia estetyczne. Powieść ta pokazuje młodym stosunek jednostki do tłumu, przekonywuje, że zbiorowy i karny trud prowadzi do celu, że „słuszna sprawa wygra wówczas dopiero, gdy ją dzielni ludzie poprą swoją pracą".

Program ministerjalny przeznaczył „Ogniem i mieczem" na lekturę umysłom czternastoletnim. Aby lektura była owocną, trzeba nią należycie, celowo kierować. Mało jednak jest dzisiaj metodycznie przysposobionych nauczycieli polskiego języka. Pomóc im w trudnem zadaniu dydaktyczno-pedagogicznem pragnie p. Czapczyński swym podręcznikiem.

*) Uwagi i zapytania, dotyczące poprawności mowy ojczystej, prosimy nadsyłać do Red. „P. S.", która o objaśnienia zwróci się do wytrawnych badaczy i znawców języka polskiego.

Podzielił treść powieści na 17 części, wskazał zasady tego podziału, pokazał celowość każdej cząstki, wytknął nauczycielowi zadanie szczegółowe przy każdej grupie rozdziałów i dodał wyczerpujące pytania, jakie ma zadać uczniom, aby z lektury wydobyli walory pożądane i zdobyli korzyść intelektualną i moralną. Zakończył swe uwagi wykresem rozwoju akcji. Wykres ten ma być pewnego rodzaju środkiem pomocniczym, pomocą poglądową w syntezie lektury.

Tę ostatnią nowość zaczepiono. Możnaby zaczepić i całą treść, gdyby — nauczyciel niewolniczo się miał trzymać książki tej, jej pytania wszystkie miał wyczerpać i uczniom je z podręcznika „zadawał". Niech Bóg broni, by tak się miało gdzie przydarzyć. Ale gdy nauczyciel przestudjuje sam powieść według tych wskazówek, w przygotowaniu się sam jej treść przetrawi, wtedy znajdzie sobie nowe jeszcze drogi dla swych uczniów i do celu upragnionego ich przez lekturę arcydzieła doprowadzi. To dla autora „metodycznego rozbioru" będzie najwyższą nagrodą. Pobudzić i pouczyć, jak robić, a nie nakazywać, że tak musisz i to musisz robić — mogło być celem autora. Za pomoc i wskazówki dzięki mu i uznanie.

Dr. Jan Magiera.

Książki dla dzieci i młodzieży. Okres przedgwiazdkowy zwykle obfity w nowości wydawnicze, przeznaczone dla dzieci i młodzieży. Tak i w r. ub. ukazały się liczne książki, o których choć krótko tylko wspomnieć pragniemy. Rozpoczniemy od wydawnictw miejscowej Księgarni Św. Wojciecha, która literaturę dla młodzieży uważa poniekąd za swoją specjalność i poświęca jej zawsze dużo uwagi i staranności.

Na plan pierwszy wysuwa się ponowne wydanie książki May Crommelina'a p. t. „Jaś—Ptaś" przyjaciel ptaszków — ozdobionej licznemi obrazkami J. K. Jaksona. Są to przygody małego chłopczyka, za sprawą dobrej wróżki zamienionego w maleńką istotkę rozumiejącą mowę ptaszków. Jaś—Ptaś wędruje sobie po ptasich gniazdach, zawiera przyjaźń ze skrzydlatym światkiem i poznaje jego obyczaje. Książka prócz wielu miłych wrażeń da dzieciom dużo wiadomości z przyrody. — „Lwica" H. Duninówny wprowadzi dzieci w środowisko zwierząt z zoologicznego ogrodu i ukaże ich cierpienia, budząc współczuce w małych serduszkach. — Z. Wyrobek obdarzył znów naszych najmniejszych czytelników zbiorem powiastek „O Łakomczuchu, Niejadce i Brudasku." Łatwe, pełne życia i humoru wierszyki i mnóstwo barwnych obrazków, ilustrujących tekst opowiadania, zalecają to wydawnictwo. — „Noc św. Mikołaja" M. Szukiewicza — to fantastyczne przygody dwóch chłopców polskich wśród czarów pełnej nocy, kiedy ten najmilszy ze świętych nawiedza dziatwę, niosąc jej podarki. Książka ta wyróżnia się nadaną jej przez autora oryginalną formą dramatyczną.

Z książek dla młodzieży, z działu historji ukazało się czwarte już wydanie „Historji żółtej Ciżemki" A. Domańskiej, mówiąc najlepiej o wybitnych zaletach tej zawsze pożądanej książki. — „Przygody wesołego Tomka" Finn'a, ukazując się w drugiem wydaniu, odmalowują typ chłopca amerykańskiego, którego sobowtóry znajdują się jednak w każdem społeczeństwie i każdej prawie rodzinie. To nie kilka przygód tylko — ale książka o wielkiem znaczeniu wychowawczem. — Z literatury sensacyjnej, odpowiedniej dla młodzieży dorastającej, Księgarnia Św. Wojciecha wydała dwie świeżo przełożone powieści J. Verne'a: „W pogoni za meteorem" i „Strasznego wynalazcę". Wszystkie przekłady słynnego autora cieszą się olbrzymią poczytnością wśród młodzieży, stanowiąc nawet niekiedy lekturę rozrywkową i dla dorosłych — sądzimy więc, że książki te spotka duże powodzenie.

Na alarm!

Na list otwarty do nauczyciela, który nie ma czasu na czytanie, umieszczony w rubryce, poświęconej przeglądowi piśmiennictwa współczesnego (Nr. 23/24 „P. S."), otrzymaliśmy kilka odpowiedzi. Poniżej umieszczamy uwagi znanego autora dzieł pedagogicznych, p. Osterloffa na temat wykształcenia nauczyciela i jego dokształcania się. Do sprawy tej, — o którą nam jedynie chodziło — nieraz jeszcze powrócimy. Oczekujemy dalszych głosów. Red.

Zawsze dotąd pogodny *Przyjaciel Szkoły*, zakończył pierwszy rok swego żywota, że tak powiem, zgrzytem. Mam na myśli notatkę w ostatnim numerze *„Przyjaciela"* z roku ubiegłego pod tytułem: *„List otwarty do nauczyciela, który nie ma czasu na czytanie"*. Sam fakt, że nauczyciel nie chciał czytać pisma pedagogicznego, niczego jeszcze nie dowodzi. Ot ktoś paraduje swoją głupotą i na tem koniec. Aliści autor notatki, mimo zastrzeżenia, że faktu nie ogólnia, jednak to czyni. Przecież pisze: „Jestem z całem uznaniem dla zastępów młodych, co z zapałem i oddaniem służą szkole i społeczeństwu. Ale niestety, tych jest bardzo niewielu. Przeważnie to „ersatze". „namiastki" i z trwogą patrzę, co będzie, gdy owa „stara gwardja" nauczycielstwa naszego ustąpi ze swego stanowiska? Co będzie, jeżeli nieliczni młodzi nie będą zdolni zająć wszystkich placówek, a pozostaną owi „ersatze" „namiastki", którzy nie mają czasu na czytanie pedagogicznego pisma i śledzenie biegu spraw szkoły i wiedzy".

W tych słowach mieści się już ciężkie oskarżenie młodego nauczycielstwa i obawa o przyszłość szkoły polskiej. A jeżeli tak jest, to słowa te za blade dla określenia całej grozy położenia.

Należałoby uderzyć na alarm w wielkie dzwony. Nie należy sprawy bagatelizować, ale też nie trzeba rozdzierać szat i załamywać rąk z rozpaczy, lecz zastanowić się nad sprawą i pilnie poszukiwać środków zaradczych, aby usunąć zło. Albowiem, jeżeli tak jest, jak pisze autor notatki, to nie można całej odpowiedzialności zwalić na oskarżone młode nauczycielstwo. Muszą istnieć jakieś przyczyny, że taką a nie inną mamy młodzież. Chodzi o rzecz wielką — o wychowanie ludu naszego chodzi! Albowiem, jak to niegdyś rzekł bojownik za oświatę powszechną w Wielkopolsce, *Ewaryst Estkowski:*

„Potrzeba, by się nauczyciele sami wpierw teoretycznie i praktycznie dokształcali i w swym zawodzie szukali światła prawdziwego i odbywali swe obowiązki nie z musu lub niechcenia, ale z przekonania i przywiązania do stanu nauczycielskiego. Takim sposobem zacny stan elementarnego nauczyciela, pracującego z przekonania, ze szczerością i zamiłowaniem stanu swego nad kształceniem serc i umysłów młodzieży i sposobiąc ją wcześnie do żywota zapełnionego pożyteczną pracą, stanie się prawdziwem zbawieniem ludu".

Kto z obywateli polskich nietylko z imienia lecz z duszy wykształcić ma, czuć się powinien kapłanem w świątyni Ojczyzny, a jest nią szkoła szczególniej ludowa, powszechna.

„W dawnych nieoświeconych czasach — mówi Brodziński — paliły się wieczne ognie na tysiącznych ołtarzach, strzeżone przez czyste dziewice; u tych ołtarzy lud krzepił ducha swego, ogniem poświęconym, wiecznym ożywiał ogień swój wewnętrzny. A tak duchowo żył, krzepił się, postępował.

Dziś czasy się zmieniły, ognie, bogom poświęcone, zgasły na ołtarzach, natomiast apostołowie wiary zapalili w sercach ludzkich inny ogień, ogień wieczny, zbawczy, z nieba nam dany. Dziś mamy inne ogniska, przy których ogrzewa i oświeca się duch narodowy, przy których się krzepi, by nie omdlał, by nie zasnął, by nie stanął w swym biegu.

Jednem z najważniejszych takich ognisk, jest instytucja szkół. W nich się utrzymuje, podsyca, pielęgnuje ów ogień wieczny, jasny, czysty, ożywczy; w nich naród się odradza i odmładza, z nich ssie duchowy pokarm, w nich się zasila, kształci, oświeca, uzacnia — słowem, głównie przez szkoły dziś naród żyje i postępuje.

Owym zaś dawnym ogniem, jest dziś tlejąca w młodem pokoleniu iskra wiary, światła, miłości i cnót.

A jak dawnemi czasy stróżami ognia bogom poświęconego były kapłanki, czyste dziewice, tak dziś stróżami narodowego ognia są nauczyciele. Wielki więc skarb oddano w ich ręce, nietylko rodziny i gminy, ale cały naród powierzył im swe dzieci".

Tak pisze Ewaryst *Estkowski*.

Kto ma być wychowawcą narodu, musi być świadom celu, do którego dąży i środków, jakie stosuje.

W myśl wielkiego pedagoga szwajcarskiego *Henryka Pestalozzego*, a i mistrza naszej pedagogiki *Bronisława Trentowskiego* również i współczesnych psychologów, pedagogów, wszelkie wychowanie wraz z nauczaniem jest dopomaganiem naturze w samorozwoju dziecka przez pobudzenie do kształcenia i udoskonalenia samego siebie, jest zaprawianiem w samodzielnem kształceniu się. Nie może być świadom celów i środków wychowawczych i budzić samodzielność uczniów w pracy, kto się kształcił tylko pod obuchem przymusu, a nie czuje w sobie żywego zdroju, którym jest umiłowanie swego zawodu. Autor notatki z ponurą przepowiednią miał zapewne na myśli młode nauczycielstwo, które niedawno opuściło mury seminarjum polskiego lub dokształciło się na różnych kursach nauczycielskich. Zachodzi więc pytanie, jak ich tam uczono, jak wychowywano? Czy nie napychano ich tylko wiadomościami i nie zaprawiano wyłącznie mechanicznie w umiejętnościach? Czy nie podawano im wiedzy pedagogicznej w już gotowych formułkach, z których żadnej przeinaczyć niemożna? Czy nie obrzydzano im lektury pedagogicznej przymusem, miasto do niej zachęcić gorącem słowem i umiejętnem

kierownictwem? Czy wskazywano im sposoby i drogi dalszego kształcenia? Czy uczono ich Polakami być, nie w słowach górnych tylko, lecz w czynie? Czy umiano dusze tych młodych wyrwać z uśpienia i pobudzić do lotu wysokiego? Czy zdawano sobie z tego sprawę, że *od młodego nauczycielstwa zależą losy Odrodzonej Polski?* Bo biada Ojczyźnie naszej, jeżeli się sprawdzi przepowiednia autora notatki!!

A czy obecnie zwierzchnicy stoją na wysokości swego zadania? Czy są pedagogami z umiłowania? Czy znają swych „podwładnych?" Czy umieją pobudzać ich do pracy nad sobą i natchnąć miłością do zawodu nauczycielskiego? Czy „stara gwardja" stara się pociągnąć do pracy, do kształcenia się, młode nauczycielstwo? Czy ma prawo rzucać kamieniem na młodych, czyniąc mało gwoli ich uspołecznienia? Czy spełnia sama wszystkie swe obowiązki kapłańskie? Czy nie posiada ona żadnych środków i sposobów oddziaływania na młodych towarzyszy pracy?

Jeżeli jednak okaże się, że wszystko uczyniono, cokolwiek mogłoby obudzić ducha opieszałego młodego nauczycielstwa, to należy przedsięwziąć najostrzejsze środki przeciw niemu. Każda jednostka bowiem w swym samorozwoju tylko to dać może, co już tkwi w niej w zarodku.

Uznaje to Pestalozzi a i nasz Trentowski. Może nieudolni nauczyciele ustąpiliby dobrowolnie ze swych stanowisk i oddaliby się pracy bardziej odpowiedniej ich uzdolnieniu?

A gdyby nie dali się przekonać, to ich usunąć trzeba siłą, jako szkodników w świątyni narodowej. Najzupełniej zdaje sobie sprawę z tego, jak trudnoby było wcielić w czyn taki środek ochrony.

Pomyślcie, radźcie!

Działać winni wszyscy: seminarja, zwierzchnicy, koledzy, bo niebezpieczeństwo jest wielkie!

Bądź co bądź rada *znaleźć* się *musi*, inaczej bowiem zmarnieje, zginie nasza szkoła.

Na alarm, na alarm!

(Warszawa, w styczniu 23 r.). *W. Osterloff.*

NASZE ECHA.

Znany jest szeroko w świecie słomiany ogień Polaków. Wybuchnie szalonym płomieniem palącej się słomy, oślepi swym blaskiem i — zgaśnie. Tłumaczono to „psychologicznie“ tem, iż jako naród — rolniczy — w inny sposób nie umieliśmy zużytkować stert słomy, palono ją więc. Dziś jest inaczej, słomy tak wiele nie mamy, można by więc i wyzbyć się „słomianych ogni“! Niestety! Co weszło w krew, tego chyba z tą krwią ludzie się wyzbędą! Słomiane ognie płoną u nas, oślepiając co chwila swym blaskiem i gasną. I tak było i z *Naszemi Echami*. Na wezwanie w Nrze 18 otrzymaliśmy moc pytań, a później odpowiedzi. Cieszyliśmy się z tego kontaktu, zawartego z korespondentami naszymi, widząc w tem ułatwienie w pracy, możność połączenia i skonsolidowania sił ku ogólnemu dobru szkoły i nauczycielstwa. Nie długo to trwało. Coraz mniej pytań nadchodzi i jeszcze mniej odpowiedzi. Zajęci nowością, rzucono nam parę pytań, obmyślono parę odpowiedzi i — zostawiono: „Niech inni to robią, ja? poco ja? I gdy tak każdy sobie powie, w końcu „Nasze Echa“ — będą bez echa!

A tak być nie powinno. Stworzyliśmy warsztat pracy, oddaliśmy go Prenumeratorom naszym w myśli: że każdy, komu dobro polskiej szkoły, polskiego nauczyciela, polskiego dziecka, a tem samem całej naszej przyszłości — leży na sercu, że każdy pospieszy, aby podzielić się myślą, spostrzeżeniami, zasięgnąć rady — i w miarę możności udzielić jej. Wierzyliśmy — i mimo braku pytań i odpowiedzi — wierzymy nadal. Nie mówcie Szanowni Koledzy i Koleżanki, że bez jednego żołnierza wojna się odbędzie — że może „ja“ tam nie potrzebny. Nie! Każdy, kto żyje, chlebem tej ziemi się żywi, komu zależy, aby przyszłość budować silną, musi przynieść cegiełkę swej myśli, do jednego wielkiego gmachu, który przyszłością Szkoły Polskiej się nazywa.

Nasze Echa — chcemy, by naprawdę były echem naszego społeczeństwa, społeczeństwa myślącego, społeczeństwa, które jeżeli wywalczyło sobie wolną szkołę polską, to i nadal musi ją utrzymać; a utrzyma ją przez ciągłe bezustanne polepszanie i wzmacnianie jej fundamentów i murów. Nikt inny, tylko — my — nauczyciele — mamy prawo szkołę budować — więc budujmy!

A teraz pytania i odpowiedzi:

Odpowiedź kolegi *F. Kamosińskiego* na pytanie:

Czy można zadać uczniom lekcje nieprzerobione w klasie?

Na powyższe pytanie możnaby odpowiedzieć jednem słowem: nie! Zachodzi teraz wątpliwość, czy dany kolega zadowoli się taką odpowiedzią, nawskroś lakoniczną; przeto postaram się ją udowodnić i umotywować.

Szkoła powszechna, jako taka, jest szkołą, w której dziecko ma się uczyć, a nauczyciel ma pomagać w pracy. Dziecko więc musi się uczyć w szkole, w niej ma też mieć czas na przerobienie materjału. Gdyby nauczyciel zadawał uczniom lekcje do domu, więc tylko pytałby ich tego, czego się uczyły w domu. Szkoła minęłaby się ze swojem zadaniem a nauczyciel — z powołaniem i posłannictwem. Wszak my musimy uczyć! Czego nie nauczymy — dzieci umieć nie będą i tego wymagać od nich nam nie wolno!

Jeśli przerobimy lekcję w klasie i to gruntownie, wtedy możemy zadać do domu, lecz tylko jako powtórzenie tego, czego się nauczyły w klasie. Zadawanie lekcyj do domu ma również tę złą stronę, że przemęcza uczni, co wpływa ujemnie na wychowanie fizyczne powierzonej nam dziatwy. A przecież mamy się starać nie tylko o umysłową stronę wychowanka lecz i o rozwój jego fizyczny. Nam potrzeba tęgich umysłów ale i nie mniej dobrze zbudowanych ludzi, bo „w zdrowem ciele zdrowy duch mieszka".

Zwróciwszy uwagę na prądy w pedagogice, zauważymy, że wszystkie one zmierzają do t. zw. „szkoły pracy". Gdy więc będziemy zadawać uczniom pracę do domu, pominiemy najnowsze sposoby nauczania.

Grzechem więc byłoby zadawać uczniom lekcje nieprzerabiane w klasie.

Na pytanie:

W jaki sposób na wiązali kontakt koledzy między szkołą i rodzicami i jakie były wyniki?

Kolega *Art. Potztal z Ludwikowa* pisze:

Z chwilą, gdy przybyłem na miejsce swego urzędowania, wszyscy zwrócili na mnie uwagę tak na zewnętrzny wygląd, jak i na zachowanie się. Byłem nowym i obcym. Zadałem sobie pytanie, w jaki sposób uda mi się zatrzeć granicę, które oddziela mnie od mieszkańców tej wsi, w której mam pracować. Wiedziałem jedno, że żyjąc między zamożniejszymi i biedniejszymi ludźmi wioski ucząc ich dzieci: wszystkie je muszę poznać dokładnie i ocenić wszechstronne ich zdolności, podług których będę się kierował i będę ich zrównoważał, że muszę również poznać nie tylko dzieci ale i ich rodziców. Tak też uczynilem. Zaraz po upływie paru dni odbyłem wizytację każdej chaty, bez wyjątku, nie zważając na stan i zamożność. Wszystkich ta moja wizyta bardzo zadziwiła, a nawet muszę przyznać, że niektórzy czuli się szczęśliwymi, przyjmując w swoim domu „nowego pana". Zaciekawienie było może tem większe, iż mój poprzednik, który w tej wsi długi czas przebywał, nie odwiedzał ich nigdy. Łączność z rodzicami nie tylko na tem polegała, ale przy każdej nadarzającej się sposobności, gdy spotkałem ich przy pracy na polu, to również chwilkę czasu poświęciłem na rozmowę, i zapraszałem do swego mieszkania, urządzając konferencje rodzicielskie. Nie miałem obawy, iż ucierpi na tem moja ambicja, ponieważ zawsze czyniłem to z pewnem ograniczeniem. Po upływie paru miesięcy urządziłem w lesie zabawę dla dzieci, urozmaiconą śpiewami, gimnastyką itp. Na tę zabawę zaprosiłem również rodziców, i prawie bez wyjątku wszyscy udział wzięli. Na wypadek, gdy które dziecko za-

chorowało, dążyłem z radą i pewnemi wskazówkami, co nieraz wychodziło na korzyść choremu. W każdej wsi, tak i w mojej, oprócz dzieci szkolnych i rodziców spotyka się młodzież dorosłą. Ja i z niż wnet wszedłem w pewien kontakt. Widząc bowiem, że owa młodzież nie umie należycie wykorzystać niedzieli, udało mi się ją zebrać w swojej szkole i urządzać śpiewy. Młodzież całemi masami spiesznie i ochoczo gromadziła się w mojej szkole. Zaznaczam jednak, że nie było moim celem, nauczyć ich śpiewu. Chodziło mi przedewszystkiem o to, ażeby tą młodzież wprowadzić na dobrą drogę. Pół godziny śpiewaliśmy wspólnie, później pogadanki z przyrody a po skończeniu wesołe żarciki tak, że każdy mógł zabawić i uśmiać się. Śpiewaliśmy wesołe piosenki. Podczas przerwy grałem na skrzypcach klasyczne utwory, jak np. „Poranek“, „Po nocnej rosie“ Moniuszki, „Marzenie“ Schuhmanna, „Ave Maria“.

Kierując się wyżej podanemi zasadami, przekonałem się, że cała wieś jest ze mnie zadowolona, i ja również jestem zadowolony z tego, że mogłem wejść w tak łatwy kontakt z nimi.

Pan Kol. M. z powiatu chojnickiego, przesyłając nam swe „skargi nauczyciela wiejskiego,“ opisuje, w jakich warunkach obecnie pracuje na Pomorzu:

„Gmina, w której objąłem - po kilkunastoletniej pracy w Poznańskiem — obecną posadę, jest zamieszkala osadnikami niemiecko-katolickimi, przybyłymi przeważnie po roku 1903, tak że prawie wszyscy musieliby się teraz wyprowadzić. Szkoła liczyła 84 dzieci, z których 7 należało do ludności tubylczej. Przybyło później 28 polskich, niemieckich ubyło tylko 8. Obecnie mam klasę polską z 28 dziećmi i klasę niemiecką z 68 dziećmi — wśród których pięcioro należy do ludności oddawna tu osiadłej. Reszta 63 dzieci — stanowi żywioł napływowy niemiecki, a między niemi połowa jest poddaństwa niemieckiego. Wobec tego mam dwie zupełnie samodzielne jednoklasowe szkoły: polską i niemiecką, każda z 4 oddziałami, polska ma dziennie dwie godziny, niemiecka trzy. Zapytuję więc:

1. Jak można ściśle przeprowadzić programy ministerjalne dla szkół siedmioklasowych w jednoklasowej szkole polskiej z dwiema lekcjami dziennie i 28 dziećmi albo w szkole niemieckiej z 3 lekcjami dziennie przy 68 dzieciach?

2. Czy udzielanie nauki języka polskiego dzieciom obywateli obcych, mających niebawem (?) opuścić Polskę, nie jest zmarnowaniem czasu?

3. Czy wogóle Rząd jest obowiązany do zapewniania nauki szkolnej dzieciom wzmiankowanym pod 2.?

Na końcu stawia *Redakcja* od siebie dwa pytania, związane ze sprawami, na które pragnie w tym roku więcej uwagi zwracać, mianowicie na temat *dokształcania się nauczycielstwa* zwłaszcza młodego i *literatury dla młodzieży.*

Pytamy więc naprzód *młodych:*

Co czyni młody nauczyciel — młoda nauczycielka — dla dalszego kształcenia się tak pod względem ogólnym jak i zawodowym?

Starszych zaś prosimy o ich zdanie:

W jaki sposób powinien młody nauczyciel pracować nad sobą?

Do drugiego tematu:

Jakie książki z literatury dla młodzieży, znając je z własnej lektury, uważają Szan. Kol. za godne polecenia dla bibljotek szkolnych? (Krótkie umotywowanie.)

Drobne wiadomości.

Przemysł domowy. Wystawa przemysłu domowego, urządzona w grudniu w Poznaniu, zainteresowała szersze koła publiczności. Jednak stwierdzić należy, że przeważna część eksponatów stanowiły wyroby **przemysłu artystycznego** jak kilimy, batiki i t. p. rzeczy, wykonane przez panie z inteligencji. Z punktu widzenia pedagogicznego natomiast pragniemy uwagę zwrócić na te wyroby, które mają łączność ze szkołą. Szkoły we Wrześni i Sulmierzycach wystawiły okazy guzikarskie, zrobione przeważnie przez dzieci szkolne. Są to wyroby zupełnie mechaniczne, dążące do jak najszybszego wykonania pracy i osiągnięcia odpowiedniego zarobku. Wątpimy jednak, czy to się z zasadami szkoły zgadza, i czy już i tak nadto zmechanizowanie życia jeszcze przez szkołę popierać należy. Obowiązkiem szkoły jest naturalne zdolności dziecka wyczuć i wskazać im drogę rozwoju, a że w każdym człowieku tkwi bezwzględnie jakaś cząstka artyzmu i poczucia piękna, rzeczą szkoły jest rozwijanie owych „indywidualnych" cząstek artyzmu, z których z czasem wyłonić się może prawdziwa sztuka. Każdy nauczyciel, zwłaszcza nauczyciel ludowy, powinien zapoznać się ze sztuką ludową, ażeby doszedłszy do właściwych zdolności dziecka, umiejętnie niemi pokierował. Dziecko okazuje swoje przyrodzone zdolności w rysunku, w zestawieniu barw i cieni itd. Przez zapoznanie się ze sztuką ludową może nauczyciel odpowiednio pokierować dziecko. Pod tym względem daje nam wystawa poważne wskazówki w oddziale: pomorsko-kaszubskim.

Wystawione są prace dziewcząt w wieku szkolnym, które pod kierownictwem p. Teodory Gulkowskiej doszły do nadzwyczajnego stopnia twórczości w wyszywaniu haftów. Na podstawie starych rodzinnych motywów, udało się jeszcze pierwotne nici artyzmu kaszubskiego schwytać i na nowo odbudować. Praca tych dziewcząt, samodzielne kompozycje, zestawienie barw, okazują nadzwyczajny rozwój zdolności. Mamy tu zarazem doskonały przykład, jak należy wykorzystać sztukę ludową dla przemysłu domowego.

Jako dalsze wyroby notujemy z oddziału dziewcząt siatki i tkaniny, a z oddziału męskiego plecionki z korzeni i produkty garncarskie, ozdobione kolorowemi motywami ludowemi.

Wystawę urządził p. Izydor Gulgowski, były nauczyciel szkoły powszechnej, który w roku 1912 zrezygnował z pruskiej kariery urzędniczej, ażeby się poświęcić studium nad sztuką ludową. Dziś stoi p. G. na czele poważnych przedsiębiorstw przemysłu kaszubskiego.

Do niniejszego Numeru załączamy *kartę tytułową* oraz *treść pierwszego rocznika „P. S"* (dla abonentów ub. roku) wzgl. prospekt o „P. S" z zaproszeniem do prenumeraty.

Pokwitowanie darów pieniężnych.

Na cele Wydawnictwa złożyli: pp. Woźniak (Poznań, X. szk. p.) 2000 mk., Kowalski (Plugawice, Wlkp.) 1000 mk., Król (Roszków, Wlkp.) 1000 mk., Michałowski (Sternowo, Pom.) 1000 mk., Mietlińska (Panki, woj. kieleckie), 3000 mk., Tarnowski (Pawłowie, Wlkp.) 1000 mk. Mikołajczakówna (Strzyżewko, Wlkp.) 1000 mk., Niedzielska (Rydzyna, Wlkp.), 1000 mk., razem **12 000 mk.**

Za dary te składamy wszystkim ofiarodawcom serdeczne podziękowanie. **Wydawnictwo „Przyjaciel Szkoły".**

Wydawca i Redaktor: **Leonard Borkowski.**
Czcionkami Drukarni Poznańskiej Tow. Akc. w Poznaniu.